

Dydaktyka zjada czas na badania naukowe

16 kwietnia 2016

Dydaktyka i działania administracyjne zabierają doktorom tyle czasu, że w ich kalendarzach pozostaje niewiele miejsca na badania. To problem systemowy, a nie wynikający z indywidualnych problemów z organizacją pracy – mówi w rozmowie z PAP Piotr Kowzan, współautor raportu o polskich doktorach.

Stowarzyszenie Nowe Otwarcie Uniwersytetu (NOU) postanowiło się dowiedzieć, jak wygląda życie i praca polskich naukowców, i z jakimi problemami badacze na co dzień się borykają. Osoby związane z NOU przeprowadziły w 2012 i 2013 r. serię rozmów z pracującymi na uczelniach naukowcami z różnych dziedzin – zarówno profesorami, doktorami, jak i doktorantami. Wyniki tych badań – na razie dotyczące tylko pracy doktorów – opublikowano w kwietniu br. w raporcie „Nie zostaje mi czasu na pracę naukową – Warunki pracy osób ze stopniem doktora zatrudnionych na polskich uczelniach”.

„Doktorzy wykładają na uczelniach. W jakimś sensie meblują wyobraźnię studentów i oddziałują na kolejne pokolenia. Pytanie, czy wskazują im świat możliwości, czy świat ograniczeń” – opowiada w rozmowie z PAP jeden z autorów raportu NOU, Piotr Kowzan, asystent w Instytucie Pedagogiki na Uniwersytecie Gdańskim i zwraca uwagę, jak duży odsetek badaczy ma tytuł jedynie doktora. Z danych Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego z 2013 r. wynika, że doktorzy stanowią aż dwie trzecie polskiej kadry naukowej (51 tys. na ponad 76 tys. osób).

„Wyniki naszego raportu są ponure. Okazuje się bowiem, że mamy w Polsce liczną grupę naukowców, którzy są w nienajlepszej kondycji psychicznej. Może bunt doktorów jeszcze nam nie grozi, ale na pewno jest to grupa rozżalona, która nie czuje

się respektowana” – przyznaje Piotr Kowzan.

NAUCZAM CZEGO INNEGO, NIŻ BADAM

Jak mówi młody badacz, w raporcie N0U sporo uwagi poświęcono rozdziwiewaniu między dydaktyką, a więc nauczaniem studentów, a prowadzeniem własnych badań naukowych. „Wydawałoby się, że naukowcy uczą studentów tego, co sami badają i prowadząc zajęcia mogą rozwijać swoje prace badawcze. Niestety, w przypadku naszych rozmówców na ogół tak nie było. Dydaktyka była im przydzielana dość przypadkowo” – zaznacza Kowzan. A to, że badania i dydaktyka się rozjechały, oznacza, że naukowcy muszą więcej pracy włożyć w przygotowanie się do zajęć i mniej czasu zostaje im na badania.

DYDAKTYKĘ ŁATWIEJ UPCHNĄĆ DO KALENDARZA

Rozmówca PAP przyznaje, że jeśli chodzi o organizację czasu pracy, prowadzenie zajęć dydaktycznych jest o wiele prostsze: „To seria mnóstwa małych deadline’ów” – podsumowuje Kowzan i wskazuje, że godziny zajęć są znane i dość sztywno ustalone. „Badania przegrywają z tym. Spychane są na dalsze miejsca w hierarchii, bo to nieuregulowana część pracy” – przyznaje Kowzan. Zaznacza, że badania można wykonać, kiedy się chce, w wolnej chwili. Ale potem okazuje się, że czas na badania się kurczy, a tych „wolnych chwil” wcale nie ma tak dużo. A poza dydaktyką pojawiają się bowiem kolejne obowiązki, z których badacze są rozliczani. To np. praca organizacyjna i administracyjna. „Te dodatkowe obowiązki zabijają pracę badawczą. Przejadają czas, który można by było poświęcić na badania” – komentuje współautor raportu.

MY, BADACZE, NIE MAMY CZASU NA BADANIA

Dlatego, jak dodaje rozmówca PAP, raportowi nadano tytuł „Nie zostaje mi czasu na pracę naukową”. „To cytat z wypowiedzi jednego z naszych rozmówców. Naukowcy z bardzo różnych dziedzin nauki, którzy czytali roboczą wersję naszego raportu, mocno się z tym hasłem identyfikowali. Uświadomiliśmy sobie,

że zjawisko odkładania badań na później jest powszechne! Zrobiło to na nas piorunujące wrażenie” – stwierdza rozmówca PAP. I zaznacza, że braku czasu na badania to problem związany z różnymi dziedzinami nauki.

Brak czasu na badania podczas roku akademickiego sprawia, że wielu badaczy pracuje naukowo w wakacje, podczas swoich urlopów. „Naukowcy wykorzystują też urlopy na podratowanie zdrowia do prowadzenia badań. To staje się kuriozalne, bo po takim urlopie badacze wracają w gorszej kondycji, niż byli wcześniej. Każda wolna chwila wykorzystywana jest więc nie do tych celów, do których powinna, tylko na badania. A to np. zabija życie rodzinne naukowców” – mówi Kowzan.

„Gdy my, naukowcy, mamy problemy z wyrwaniem czasu na badania, to większość z nas myśli, że to nasza osobista wina. Że to kwestia złej organizacji czasu pracy. I to jest dla nas temat wstydlivy. Nie chwalimy się przecież, że brakuje nam czasu na pracę badawczą. No bo przecież badacz jest po to, żeby robić badania. A jak nie ma czasu na badania, to ktoś może z tego wyciągnąć konsekwencje. Tymczasem okazuje się, że to nie jest problem indywidualny, ale społeczny” – podkreśla Kowzan.

DYDAKTYKA SIĘ OPŁACA. A BADANIA – MNIEJ

Jak uważa Kowzan, zjawisko odkładania badań „na kiedy indziej”, związane może być z systemem płac. Zarobki naukowców na uczelniach w dużej mierze zależą bowiem nie od tego, ile czasu poświęca się badaniom, tylko właśnie od dydaktyki. „Ktoś może więc poświęcać badaniom kilkanaście godzin tygodniowo, a może kilkadziesiąt i nie ma to żadnego wpływu na jego wynagrodzenie. Bo płace mogą znacząco podskoczyć tylko wtedy, kiedy ktoś zajmie się dodatkową dydaktyką i szkoleniami” – uważa Kowzan.

Jak zaznacza, naukowcy mają wprawdzie pewne możliwości uzyskania grantów, dzięki którym można spokojnie prowadzić badania. „Ale dydaktyka jest prostszym sposobem na uzyskanie

pieniędzy, więc doktorzy z tej możliwości chętnie korzystają” – mówi.

Okazuje się jednak, że powrót ze ścieżki dydaktycznej na badawczą jest trudny. Przygotowanie i prowadzenie zajęć dydaktycznych pochłania bowiem dużo czasu, który mógłby być poświęcony na badania. Odbija się to na liczbie publikacji i ich jakości. Trudniej więc np. wywalczyć grant badawczy. Naukowcy mogą to szczególnie zauważyć w dobie niżu demograficznego. „Studentów jest na uczelniach mniej, więc ludzie chcą wrócić do badań, ale ciąży im przeszłość. Ich możliwości są ograniczone, bo mają mało publikacji albo dawno już nie publikowali. To droga w jedną stronę” – zwraca uwagę rozmówca PAP.

BADANIA? DROGA JEST – I MUSI BYĆ – PROSTA

Z raportu wynika też, że jeśli chodzi o badania, bardzo liczy się moment początku kariery – i np. to, czy za pierwszymi badaniami, które ktoś podjął, ruszyły jakieś nagrody i stypendia. Jeśli tych nagród na początku nie było – trudno to zmienić. A jeśli ktoś już dostawał nagrody i stypendia – będzie je dostawał dalej. Ci, którzy zaczynają karierę badawczą, powinni więc wyobrazić sobie swoją przyszłość i konsekwentnie podążać tą drogą „To dokąd lecimy, musi wynikać z tego, skąd przylecieliśmy” – streszcza Kowzan.

„Kariera naukowca kojarzy się z wolnością, nieograniczonymi możliwościami, a jest mocno sformatowana. W zasadzie z powodzeniem i z jakimś finansowaniem można robić to, co już wcześniej się robiło z sukcesem” – opowiada doktorant UG.

PLAN B NIE TAKI BE, CAŁKIEM CACY!

To, czy ktoś pójdzie ścieżką naukową czy dydaktyczną, czasami nie zależy od badacza. On czasem na którąś z tych ścieżek zostaje pchnięty. „Pracownicy boją się, że jeśli wykażą się niesubordynacją, przełożeni mogą ich za karę obciążyć dydaktyką spoza zakresu zainteresowań. A to oznacza, że sporo

czasu zabierze im przygotowanie do prowadzenia zajęć” – mówi współautor raportu. Nie oznacza to jednak, że takie kary ze strony przełożonych są w Polsce powszechne. Zdaniem Kowzana bardziej powszechne jest samo przeświadczenie badaczy, że również ich może to spotkać. Jest to więc – według rozmówcy PAP – kultura strachu.

Tę hierarchizację i kulturę strachu wzmacnia również – zdaniem Kowzana – walka o habilitację. A to jeden z ważniejszych problemów, jakimi żyje doktor. „Bo doktorzy albo robią habilitację, albo muszą odejść z uczelni. Mają na to maksymalnie 8 lat zatrudnienia” – zwraca uwagę rozmówca PAP. A żeby uzyskać habilitację, trzeba mieć poparcie osób na wyższych stanowiskach i być rozpoznawanym w środowisku. „To bardzo hierarchizuje ludzi. Przez to doktorzy są ugrzecznieni, podatni na różne naciski przełożonych” – uważa Kowzan.

Dlatego wśród doktorów, którzy widzą, że zbliża się już deadline na habilitację, jest sporo osób, które szukają sobie planu B. Nie wykluczają, że odejdą z uczelni, więc znajdują kolejne możliwości zarabiania. A przez to nie angażują się całkowicie w działalność uniwersytecką.

REFORMY? TO NIE DLA NAS

Rozmówca PAP wyjaśnia, że raport NOU przygotowywano po reformach szkolnictwa wyższego Barbary Kudryckiej z 2011 r. Autorów raportu interesowało, dlaczego wśród naukowców zainteresowanie zmianami tych przepisów było marginalne. Z rozmów z doktorami wynikało, że reformy miejsca pracy raczej odbijają się nie na obecnych badaczach, ale na przyszłych ich pokoleniach. „Bo kiedy oferuje się np. nowe ścieżki kariery, one w niewielkim stopniu trafiają do tych, którzy już są zanurzeni w świecie akademickim” – podsumowuje. Wyjaśnia, że doktorzy są oceniani przez osoby, których reformy nie obowiązywały, więc inne są też z ich strony wymagania. Stąd też mógł się więc wziąć brak zainteresowania badanych zmianami przepisów.

Reformy z 2011 r. – w ocenie autorów raportu – znacząco zmieniały warunki pracy naukowców. „A wtedy nie było żadnych dobrze oddających rzeczywistość badań dotyczących pracy naukowca. My uważamy, że jeśli ktoś chce wprowadzać reformy, to najpierw powinien przyjrzeć się, na czym stoi. To był nasz cel. I dlatego podjęliśmy próbę, by stworzyć bardziej całościowy obraz, jak wygląda sytuacja pracowników naukowych w różnych dziedzinach nauki” – kończy Kowzan.

Autorami raportu „Nie zostaje mi czasu na pracę naukową – Warunki pracy osób ze stopniem doktora zatrudnionych na polskich uczelniach” są Piotr Kowzan, Małgorzata Zielińska, Agnieszka Kleina-Gwizdała i Magdalena Prusinowska.

Autorstwo: Ludwika Tomala

Źródło: NaukawPolsce.PAP.pl